



Mirosław Derecki
ŚRODOWISKO LUBELSKIE (7).
PAN ZIÓŁKOWSKI

Chodził zimą w wyszarzałej przez lata, sukiennej czapce uszance z opuszczonymi klapami, co sprawiało, że jego pociągła, poorana zmarszczkami twarz, o smutnych, mądrych oczach, wydawała się jeszcze bardziej szczupła i drobna, Z nastaniem wiosny czapkę-uszankę zastępowała biała furazerka. Pan Ziółkowski nabierał animuszu, prostował swoją wysoką, chudą sylwetkę, raźniej podpierał się laską, a na widok znajomych podnosił do czoła dłoń w wysmakowanym, żartobliwym salucie i wołał tubalnym głosem: „Moooje u-sz-sz-a-n-o-w-a-n-i-e!”. W chłodne dni wkładał zielonkawy drelichowy prochowiec, który mocno ścisnął wąskim skórzanym paskiem, pod nim miał brązową sztruksową marynarkę. Mijały lata, a pan Ziółkowski ani na krok nie odstąpił od swojego stylu ubierania ani od swego sposobu bycia; Tak jak nigdy nie widziałem go bez owej charakterystycznej skórzanej torebki zawieszanej na szyi, w której nosił dokumenty, pieniądze, projekty opracowywanych przez siebie katalogów plastycznych, exlibrisy, których był namiętym kolekcjonerem, listy - bo prowadził szeroką i ożywioną korespondencją z wieloma artystami oraz kolegami - kolekcjonerami - wreszcie: manuskrypty swoich artykułów i recenzji.

Przez siedemdziesiąt lat ten dziwny delikatny człowiek, o spojrzeniu filozofa i dłoniach pianisty-wirtuoza, był jedną z najbardziej charakterystycznych postaci lubelskiego środowiska, artystycznego i jedną z najbardziej jego zagadkowych postaci. Artysta, który w młodym wieku „złamał pędzel”, bo doszedł do wniosku, że ma nie dość talentu; krytyk plastyczny, który okresami całkowicie zaprzestawał działalności; zamiłowany fotograf, który nigdy nie wystawiał swoich prac; wielbiciel sztuki ludowej; organizator i komisarz bardzo wielu wystaw plastycznych; zapamiętały zbieracz exlibrisów, plakatów i w ogóle grafiki... Kim naprawdę, był?

Niesłychanie czynny, krążący wciąż między ludźmi, instytucjami i urzędami, potrafi zachować zawsze chłodny dystans nawet wobec osób, które znały go od dziesiątków lat Nie słyszałem nigdy, żeby ktoś powiedział do niego familiarnie: „panie Wiktorze”, to było wręcz nie do pomyślenia, Zwracano się do niego albo per „panie profesorze” (z uwagi na jego

dawny zawód nauczyciela rysunków w lubelskich szkołach i gimnazjach), bądź - „panie dyrektorze”, nawiązując do czteroletniego, tuż powojennego okresu, kiedy pan Ziółkowski zajmował stanowisko dyrektora Okręgowego Muzeum Lubelskiego. Nawiasem mówiąc, było to jedno z nielicznych w jego długim życiu etatowych miejsc pracy. Wiktor Ziółkowski nie znosił jakichkolwiek ograniczeń, żył bardzo skromnie, ale za to w sposób wolny. Był społecznikiem, działaczem kulturalnym, był artystą, ale był także cyganem artystycznym i może bardziej mieściłby się w atmosferze Krakowa z przełomu stuleci, niż specyfice współczesnego Lublina... Właściwie nikt dobrze nie wiedział, jak żyje z czego żyje, i wiele spraw wyjaśniło się dopiero po śmierci pana Ziółkowskiego, kiedy zaczęto opracowywać pozostałe po nim dokumenty i zbiory, to stosy „makulatury” zalegającej jego mieszkanie, której o mało nie zmarnowano przez karygodną bezmyślność, indolencję, lenistwo, a w niektórych wypadkach - wręcz głupotę...

Pierwszy raz. zobaczyłem go - na Krakowskim Przedmieściu latem 1956 roku. Stałem wraz z nieżyjącym jut dzisiaj Tytusem Dzieduszyckim koło targu kwiatowego „na murku”, przed kościołem ewangelickim, i w pewnym momencie Tytus pokazał mi idącego po drugiej stronie ulicy wysokiego, chudego, przygarbionego mężczyznę:

„Zobacz, to jest „Ziół”, strasznie miły człowiek, był komisarzem naszej wystawy, a teraz jest opiekunem koła”. Pan Ziółkowski liczył sobie wówczas sześćdziesiąt trzy lata, Tytus - dwadzieścia dwa, a ja miałem lat dwadzieścia, Tytus Dzieduszycki kończył właśnie biologię na UMCS. Interesował się życiem i zwyczajami bobrów - włóczył się w czasie kolejnych studenckich wakacji z plecakiem i aparatem fotograficznym po rozlewiskach Biebrzy, szukając żeremi bobrowych – i pisał na ten temat pracę magisterską. Pociągało go jednak, równie mocno malarstwo i właśnie kilka miesięcy temu, w lutym 1956 roku, jego prace znalazły się na Wystawie Plastyków Amatorów i Nikifora otwartej w siedzibie Biura Wystaw Artystycznych, w budynku Biblioteki im. H. Łopacińskiego przy ul. Narutowicza 4. Patronowały tej imprezie Wojewódzka Rada Związków Zawodowych oraz lubelski oddział Związku Polskich Artystów Plastyków, komisarzem wystawy (a może także jej inicjatorem?) był Wiktor Ziółkowski, .Wstęp do katalogu napisał młody krytyk plastyczny Jerzy Ludwiński. Wśród 169 prac eksponowanych na wystawie były 24 obrazki Nikifora, którym już wtedy bardzo interesował się pan Ziółkowski. Dlaczego wówczas Nikifora-Matejkę, malarza prymitywistę z Krynicy eksponowano razem z początkującymi amatorami z Lublina, Bóg raczy wiedzieć... W każdym razie ów przypadkowy alians miał tę dobrą stronę, że doprowadził wkrótce do zawiązania się Koła Młodych Plastyków, z którego następnie miała wyniknąć znana awangardowa grupa plastyczna „Zamek”. W „Zamku” znalazł się m.in. także

Tytus. Ale to stało się później. Na razie w lecie 1956 roku, było Koło Młodych Plastyków, nad którym opiekę z ramienia ZPAP objął pan Ziółkowski.

Moje drogi życiowe skrzyżowały się jednak z drogami pana Ziółkowskiego nie dzięki koneksjom towarzyskim ze środowiskiem młodych lubelskich plastyków, tylko z uwagi na osobę Nikifora. Kiedy napisałem do „Kamieny” jeden i drugi reportaż o spotkaniach z Mistrzem z Krynicy, dostałem jednego z najwyższych stopni wtajemniczenia: pan Ziółkowski zaprosił mnie do swojego mieszkania.

Mieszkał wraz z żoną na Starym Mieście, na najwyższej kondygnacji znajdującej się przy Rynku słynnej Kamienicy Klonowicza. Przechodziło się najpierw przez długą, wilgotną sień na parterze, na obudowany kilkupiętrowymi krużgankami wewnętrzny dziedziniec. Z takiego właśnie krużganku wchodziło się na trzecim piętrze do mieszkania państwa Ziółkowskich. Kamienica chyliła się ku ruinie, dach przeciekał, sufit groził zawaleniem. Cała pierwsza komnata wypełniona była lasem sosnowych stempli podpierających strop. Gospodarz kluczył między pachnącymi żywicą belkami, zwracając uwagę gościa na miejsca, w których można wałęsać się w głowę, lub gdzie się można potknąć. Potem były drzwi i wchodziło się do drugiego pomieszczenia z oknami patrzącymi na ulicę Olejną. Stało tutaj kilka antyków, lekko poczerniałe ściany zawieszane były obrazami, centrum komnaty zajmowało rozłożyste łóżko, z którego od lat nie wstawała małżonka gospodarza. Ale przede wszystkim uwagę zwracało to, że całe prawie wnętrze było wypełnione ogromną ilością kartonowych pękato wyładowanych teczek, stertami afiszów, górami rysunków, grafik, zwałami książek, rozsypującymi się pokładami listów, pocztówek, fotografii..

Zbiory pana Ziółkowskiego przytłaczały to mieszkanie, zalewały jego właścicieli, dezorganizowały im życie, zamieniały dom w jakieś monstrualne, i surrealistyczne koczowisko. Nie wolno tutaj było niczego tknąć, nic nie mogło zmienić miejsca, na którym legło przed trzydziestu czy dwudziestu pięciu laty. Wielokrotnie proponowano Wiktorowi Ziółkowskiemu mieszkanie zastępcze, w nowych blokach, mieszkanie z kaloryferami i bieżącą wodą. Nic z tego, Pan Ziółkowski nie wyrażał zgody. Walczył jak lew o pozostanie w starych pieleszach, wśród swojej kolekcji, która miała następnie przypaść Lublinowi. Na trzecim piętrze Kamienicy Klonowicza stary człowiek czekał spokojnie na swój koniec, pragnąc powiązać go wśród starych ścian, mebli i przedmiotów. Chociaż chwilami nachodziły go momenty przerażenia. Prawie dokładnie cztery miesiące przed zgonem zanotował na kopercie, która mu się nawinęła pod rękę: „Uciekłem przed śmiercią do Nałęczowa, ale to się na nic nie zda, dogoni bestia, dogoni! Piątek, 20.III.78”.

Wiktor Hermogenes Ziółkowski, syn Aleksandra i Stanisławy Rozalii ze Świderskich, urodził się w Lublinie 19 kwietnia 1893 r., co stwierdza metryka chrztu wydana przez

kancelarię kościoła parafialnego pod wezwaniem Św. Pawła przy ulicy Bernardyńskiej. Pochodził z rodziny od dawien dawna osiadłej na wsi. Jego dziadek, Piotr Wiktor Ziółkowski, żonaty z Salomeą de domo Kogucińską, zarządzał majątkiem w Siedliskach na Chełmszczyźnie. Natomiast rodzice pana Ziółkowskiego osiedli już w mieście. Jego ojciec był geometrą, wiodło mu się dobrze, miał dom przy ulicy Kołłątaja 6 w Lublinie, który także musiał dawać niezły dochód. Wiktor uczęszczał do roku 1912 do Szkoły Lubelskiej (dzisiaj mieści się w jej budynku Collegium Anatomicum Akademii Medycznej w Lublinie); w 1913 r. rozpoczął studia w Cesarsko-Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Studiów tych - jak się wydaje - nie dokończył. Może miał na to wpływ konflikt, w jaki popadł z jednym ze swych profesorów, Mehofferem, a pewnie także wybuch w 1914 r. I wojny światowej. Wiktor Ziółkowski był wszak poddanym rosyjskim, a Kraków znajdował się w obrębie zaboru austriackiego.

W 1918 r. Wiktor Ziółkowski podjął pracę zarobkową, uczył rysunków w kilku szkołach lubelskich, później pracował nawet przejściowo jako nauczyciel w tutejszym Państwowym Seminarium Nauczycielskim Męskim. Zaczął też pisywać do lubelskiej prasy, najczęściej pod pseudonimem Julian Kot. Kiedyś natknąłem się przypadkowo na jeden z takich pierwszych jego młodzieńczych artykułów, zamieszczony w wielkanocnym numerze „Ziemi Lubelskiej” z 1919 r.: „Przeto ośmielam się poruszyć w „Ziemi” sprawę urządzenia w Lublinie wystawy (...) poświęconej odtworzeniu architektury naszego miasta w plastyce. Mam na myśli specjalnie dwa cykle dzieł, a mianowicie prof. L. Wyczółkowskiego i Jana Gumowskiego „Stary Lublin”. Zestawienie tych prac miałyby rację bytu: wysnuwałyby szereg myśli plastycznych oraz zilustrowałyby wrażenie, które wywołuje piękno naszego grodu w duszach polskich artystów”.

Miał także pan Ziółkowski w swoim życiu epizod wojskowy; w sierpniu 1920 r. zaciągnął się jako szeregowiec do Lubelskiego Pułku Ochotniczego. Na front jednak nie poszedł, tylko trafił do „propagandy”. Przydzielono go do sekcji polityczno-prasowej oraz do pracy w redakcji żołnierskiego dziennika „Front”. Wówczas zaczął zbierać plakaty - początkowo o tematyce wojennej, politycznej - i to był właśnie początek wielkiej, nie wiem, na ile zachowanej do dzisiaj, kolekcji.

Bardzo dużo pisał, lubił mieć oponentów, polemizować na łamach prasy. „Artykuły moje w czasopiśmie - stwierdził w jednej ze swoich wypowiedzi biograficznych - dotyczyły przeważnie estetyki i formy druku, formy plastycznej wyrobów przemysłu ludowego oraz organizacji pokazów plastycznych i samych pokazów”. Pisał artykuły, recenzje i wstępy do katalogów, ale jeszcze częściej i chyba z jeszcze większym upodobaniem pisał listy. Uwielbiał korespondować. Korespondencja Wiktora Ziółkowskiego zawarta jest w 33 tomach: znajduje się tam 6 tysięcy listów, kartek i widokówek z lat 1908-1977. Wymieniał

listy m.in. z Władysławem Skoczylasem, Edmundem Johnem, Zenonem Kononowiczem, Antonim Michalakiem, Adamem Póltawskim, Januszem Świeżym, Stanisławem Zielińskim. Zachowało się w zbiorach pana Ziółkowskiego m.in. 149 listów (z lat 1939-1967) od Zenona Kononowicza, 541 listów (z lat 1927-1962) od Kazimierza Wiszniewskiego, itd., itd. Słusznie pisze p. Wanda Szwarz z Biblioteki im. H. Łopacińskiego - opracowująca część spuścizny po Wiktorze Ziółkowskim - w przygotowanym przez siebie do druku artykule: „Wartość zbioru (listów i dokumentów - przyp. M.D.) polega na tym, że obejmuje on (...) 70 lat i że oprócz kontaktów ogólnopolskich zawiera listy związane z życiem kulturalnym Lublina, Kazimierza, Nałęczowa i całej Lubelszczyzny”.

A w innym miejscu stwierdza: „Nie zachował się (...) testament, artyści, zachowały się jednak jego zapiski z ostatnich lat, mało czytelne, kilkakrotnie powtarzane, jak to było w jego zwyczaju. W notatkach tych przeznacza swoje zbiory Bibliotece Publicznej im. H. Łopacińskiego, Muzeum na Zamku i stawia jako warunek konieczny przed podziałem dokładną inwentaryzację zbiorów. Jak wiadomo, inwentaryzacja ta nigdy nie nastąpiła. Zbiory po bardzo ogólnym protokolarnym spisaniu jesienią 1980 r. musiały być jak najszybciej przewieziona do Muzeum i zabezpieczone przed pleśnią. Dopiero wtedy nastąpił podział”.

Co jednak się działo w ciągu dwóch lat po śmierci Wiktora Ziółkowskiego? To znaczy: od 28 lipca 1978 r. do jesieni 1980? Niestety, zbiory owe gniły i pleśniały na opustoszałym poddaszu kamienicy Klonowicza, a potem - złożone w niewłaściwych warunkach przez użytkowników kamienicy. A potem jeszcze, w marcu 1981 r., pracownicy Pracowni Konserwacji Zabytków znaleźli resztę spuścizny po Wiktorze Ziółkowskim wyrzuconą... na śmietnik (!) na podwórzu. Kamienicy Klonowicza.

Pisali na ten temat wiele na łamach „Kamieny” moi redakcyjni koledzy, więc nie ma co przypominać w sposób drobiazgowy całej sprawy i okoliczności jej towarzyszących. Warto przecież przypomnieć ten jeden z najbardziej, haniebnych incydentów w lubelskim życiu kulturalnym.

25 stycznia 1978 r., w jednym z tych momentów, kiedy w samotności rozlicza się człowiek sam przed sobą z życia, Wiktor Ziółkowski zanotował na niewielkiej karteczce: „Straciłem życie, bo nie postarałem się o wykształcenie, mogłem być coś zostawić, miałem zapal w różnych kierunkach, a tak nic po mnie nie zostanie, dosłownie nic, bo chyba tylko kilka artykułów... Zbiory, zbiory żadne, ca lepsze za życia mego wyfrunęły”...

Nie jestem pewien, czy pan Ziółkowski zmarnował życie. Ale wiem, że o mały włos nie została zmarnowana spuścizna całego jego życia. Dobrze, że ją uratowano.

Po co żegnać się a człowiekiem w smutku i osamotnieniu? Wiktor Ziółkowski był przecież artystą obdarzonym ogromnym poczuciem humoru, a jego cięte uwagi i powiedzonka powtarzane są do dzisiaj wśród znajomych.

Pod koniec życia zaczął w lecie przyjeżdżać na dłuższe okresy do Kazimierza. W swej białej furazerce, w brązowej sztruksowej marynarce, kręcił się raźnie wśród artystycznej młodzieży handlującej na Rynku obrazami. Bywał też gościem w pracowniach plastycznych. Pewnego wieczora znalazł się wraz ze sporą grupą innych gości w atelier jednego z miejscowych malarzy, którego obrazy cieszyły się (i cieszą nadal) doskonałym popytem. Mistrz stawiał wino i prezentował kolejne płótna. Pan Ziółkowski przyglądał się ze wzrastającą coraz bardziej uwagą, wreszcie zapytał swym przeciągłym, dobitnym głosem: „Aaaa, droooogi panie! Niech mi paaan powie, jak paaan to robi, jak pan to rooobi!!!”. Malarz sapnął z zadowolenia, cokolwiek upozował się, i trochę do pytającego, a jeszcze bardziej do gości się zwracając, rozpoczął: „A, bo to tak było, panie profesorze. Stoję nad Wisłą, jest piękny zachód słońca. Patrzą: tak i tak. I nagle..., już wiem co i jak! Biorę pędzel...” „Aaale - ramy, RAMY! Mnie obchodzą RAAAMY” - przerwał mu w połowie zdania pan Ziółkowski. „Skąd pan bierze takie doskonałe ramy do obrazów! Czy pan je sam może, przypadkiem, wykonuje?!” „No, tak - przyznał zupełnie zdetonowany Mistrz - tak, ja sam je wykonuję. Mam nawet taki podręczny warsztacik...”

„Kaaapitalne, kaaapitalne!!!” - wyrzucił z siebie z podziwem profesor.

I jeszcze w godzinę później, po wyjściu z pracowni, powtarzał w zachwycie do podtrzymujących go pod łokcie przy schodzeniu ze schodów młodych ludzi: „Kapitalne! Kapitalne! Toż to prawdziwy talent! Toż to mógłby być genialny stolarz!!! A, patrzcie państwo, ten człowiek nic tylko maluje i maluje. I marnuje się. Co za szkoda! Co za szkoda!!!”

Była to najbardziej dosadna i najbardziej; zjadliwa recenzja plastyczna, jaką - nie tyle przeczytałem - ile usłyszałem w życiu.

Pani Wandzie Szwarc dziękuję, za udostępnienie maszynopisu jej artykułu, z którego zaczerpnąłem szereg cennych informacji.